

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

7)

Owinięta była w szeroką, welnianą, białą suknię, na którą spadały jej włosy, luzem splecione w dwa warkocze. Twarz jej uśmiechnięta radośnie, nie miała już w sobie tego dumnego, surowego wyrazu, jaki uderzył Armanda, kiedy patrzył na nią wczoraj z widowni.

— Marto! jakże ładną i uśmiechniętą jesteś dzisiaj — zawołał, podbiegając ku niej.

— Tylko bez pochlebstw, mój kochany — odpowiedziała. — Mam tyle poważnych spraw do omówienia. Musimy dzisiaj postanowić o całej naszej przyszłości.

— To tak proste — odparł Armand, siadając obok Marty. — Powrócimy do Thisc i zapewne odnajdziemy w kancelarii gminy wszystkie papiery potrzebne, a przygotowane trzy lata temu przez naszą twoją opiekunkę panią Vancellier...

— Może napotkamy jakie trudności.

— Żadnych Marto. Przekonasz się. Notaryusz wówczas pomyślał o wszystkim. Dzisiaj sami będziemy czynić wszelkie przygotowania. Czy to nie będzie rozkoszne? pomyśli. Być może nawet, o ile zechcesz, odnajdziemy, szukając dobrze kogoś z twojej rodziny, Marto! Chciałabyś? powiedział.

— Oh! tak, chcę, chcę gorąco! — odpowiedziała żywo młoda dziewczyna. — Była to myśl moja najskrytsza, a ty ją odgadłeś...

— Jednakże — podjął Armand wahającym trochę głosem — trzeba...

— Ani słowa więcej — przerwała Marta, kładąc mu rękę na usta. — Zobaczmy, czy zrozumieliśmy się dobrze. Chciałeś powiedzieć, że chcąc czynić te poszukiwania, muszę być wolną zupełnie! Czy nie tak, Armandzie? Wolna od wszelkich zobowiązań i kontraktów teatralnych. A więc dowiedz się, że przygotowałam już wszystko. Nie ukąże się już nigdy na scenie, rozumiesz mnie, Armandzie? Dżim zabierze wszystkich moich dzikich przyjaciół, którzy byli pocieszycielami moimi przez te trzy lata i odprowadzi ich do Katalonii, do miejsca zamieszkania starego Greka. Znajdzie się tam ktoś chętny, kto ich przyjmie.

— Oh! Marto! Idziesz naprzeciw wszystkim moim najgorętszym pragnieniom — zawołał Armand, uniesiony szaloną radością. — Lecz czy nie pożałujesz kiedy tej ofiary?

— Kocham cię, Armandzie i świat cały znikną z przed moich oczu, na twój widok — odpowiedziała z prostotą młoda dziewczyna.

— Marto, przerażasz mnie. A jeżeli nie stanę się godnym takiej miłości? Jeszcze nie uczyniłem nic dla ciebie. Kto wie, co los mi przeznacza? Czy zdołam zwrócić na siebie uwagę tłumów, czy wybije się na stanowisko, jakiego pragnął mieć — dla ciebie!

— A czyż nie posiadam różdżki magicznej — zaśmiała się Marta. — Ujarmiałam nią moje tygrysy — potrafię powolnym uczynić otoczenie nasze, zmusić do uznania ciebie.

— Wszystko jest czarem w tobie, Marto — ale nie wierzę w władzę twojej hebanowej laseczki — odparł wesoło Armand.

— Żle czynisz. Ja wierzę w nią. Pochodzi ona z Indyi i była własnością jakiegoś bardzo starego i uczonego fakira. Ona nie jest z hebanu, Armandzie. W wydrążeniu jej mieszczą się cienkie płatki złota i srebra i innych jeszcze mieszanych metali, napojonych tajemniczymi jakimiś płynami. W dnie burzliwe, kiedy ją trzymam w ręce, spijają się z niej fale drobnych iskerek elektrycznych. Ale pomówimy o tem jeszcze. No, Armandzie, nie zasmucaj nam tych godzin radosnych — dodała, ujrawszy nagle zamyślenie jego. — Myślmy o jutrze!

— Tak, Marto! Mam słuszość! Myślmy o jutrze — powtórzył za nią Armand, otrząsając się z wrażenia, które go nagle objęło. — Jedziemy do Thisc!

— Jedziemy do Thisc dziś jeszcze — zaraz — o dwunastą, pociągiem pospiesznym! — zawołała Marta.

— Naprawdę?

— Oczywiście. Ułożyłam już w nocy cały program. Mam zamiar spędzić czas, który nas dzieli od ślubu, w moim dawnym schronieniu, w klasztorze.

— Oh! — szepnął przecząco Armand.

— Tak być musi... Klasztorne mury nie prze-
rażają mnie teraz... a potem...

— A potem, Marto?

— A potem... po ślubie, pojedę z tobą do Indyi i pomogę ci w wypełnieniu twojej misji.

— Pojechałabyś ze mną najdroższa!

— To jest marzenie moje. Zobaczysz, że będę ci tam użyteczną. Czytałam wiele opisów o tym kraju — znam go prawie. Ale teraz zostawię cię na chwilę. Muszę się przebrać do drogi. Przygotowałyśmy już wszystko z Bocą. Jedziemy za godzinę.

— Dżim, poczciwy murzyn Dżim szedł ulicą smutny i niespokojny.

Wiedział o zamiarach swojej pani, wiedział, że będzie zmuszony rozłączyć się na kilka tygodni z młodą swoją żoną i odjechać daleko — do Hiszpanii, aby wykonać misję powierzoną mu przez miss Elwę.

Zaledwie jednak Dżim uszedł kilka kroków, wyszedłszy z mieszkania przy ulicy Saint Germain, kiedy mały jakiś człowiek, rodzaj robotnika w bluzie, podszedł do niego, kłaniając mu się grzecznie.

Dżim był zarozumiały jak wszyscy jego rasy. Mały człowiek otrzymał tylko pogardliwe spojrzenie. Ale nie zrażony, uparczywie stał koło Dżima, uśmiechając się do niego, tytułując lordem, ekscelemcją, czcigodnym panem.

Próżność Dżima w końcu mile połączona została i zaczął okazywać więcej pobożności. Zapytał więc nieznanego, czego żąda od niego.

Brood — bo był to właśnie defektyw na usługach lorda Halley — pragnął wkraść się w łaski Dżima i prosił o przyjęcie jako pomocnika w staraniach około tygrysów miss Elvy. Znał się na tem znakomicie. Długo czas był pierwszym dozorcą w menażeryi słynnego Deron.

Jednakże wszystkie zalety fachowe, jakie wyliczył, nie zdawały się wzruszać Dżima.

Nie potrzebować... nie potrzebować... — mówił smutnie. — Już nie przedstawiać. Teatr skończyć się.

Jakto? — zawołał Brood na tę wiadomość. — Miss Elwa nie będzie się już produkować? Cały Paryż tak ją uwielbiał! Ależ to nieszczęście, prawdziwe nieszczęście! Czy to możliwe? Może pan się myli?

— Nie mylić — pokiwał melancholijnie Dżim. — Miss Elwa wyjechać pospiesznym dziś o jedenastej, a ja właśnie iść do teatru z rozkazem, aby zmienić afisz.

Na te słowa nieoczekiwane, mały Brood ledwie powstrzymał okrzyk zdumienia.

— Oh! jaka szkoda! Jaka szkoda! — pocieszał Dżima, idąc ciagle z nim dalej. — Taka sława! Taka znakomitość!

Ale nagle, nie kiwnąwszy nawet głową murzynowi odwrócił się na pięcie i podszedł do Pitera, stojącego ciagle na swoim stanowisku.

— Baczość — szepnął, ocierając się o niego. — Mała opuszcza nagle Paryż. Mój powóz gotowy. Będziemy podróżować. Ja idę teraz przebrać się.

Punktualnie o godzinie dwunastej, Marta, Armand i mała Boca wsiadali do przedziału pospiesznego pociągu, który miał ich zawieźć do Besancon.

O tej samej porze, w tym samym wagonie zajmował miejsce Piller w liberyi swojej firmowej, na którą zarzucił, szeroki, ciemny płaszcz angielski.

Dnia tego lord Halley jadł śniadanie u hrabiego de Valdeuse.

Hrabia był jakiś rozlagniony, zakłopotany i nerwowy.

— Wyobraź sobie, mój kochany — zwrócił się w pewnej chwili do towarzysza. — Jestem zmuszony bezzwłocznie jechać do Rochegrise. Oh! co za podróż w tym czasie. Można ułonać w zaspach śnieżnych.

— Zaczekaj na porę łagodniejszą — radził lord. — Czas może się zmienić.

— Nie mogę!

— Dlaczego?

— Jadę na pogrzeb mojego teścia.

— Oh!

— Tak, tak! Przyjemna ceremonia — nieprawdaż? Ten biedny markiz nie mógł wybrać lepszej pory. Otrzymałem dziś telegram od mojej żony.

— Widocznie nie dziedziczysz, skoro ta śmierć jest ci tak obojętną?

— Nie. Dziedziczy tylko hrabina. Ale co to

za spadek! Stary, feodalny zamek, ponury i zimny, gdzie pokutują jakieś duchy.

W tej samej chwili rozmowa przerwana została przez wejście służącego, który wniósł na tacy list pilny dla lorda Halley'a.

— Pozwolisz, mój kochany

— Ależ oczywiście!

Lord rozdarł kopertę i niewzruszony czytał wiadomość podaną przez sir Jamesa o nagłym wyjeździe miss Elvy.

— Nie będzie odpowiedzi — zwrócił się do oczekującego służącego. — Wiesz o czym do-
wiedziałem się dziś rano? — zaczął po jego odejściu obojętnym głosem lord Halley.

— Czy to coś nieprzyjemnego dla ciebie? — zapytał hrabia Valdeuse.

— Hm! prędzej może dla ciebie, mój kochany.

— Dla mnie?

— Tak! Piękna mis Elwa, którą tak się zachwycałeś jeszcze wczoraj wieczór...

— No, mówże, mów prędzej — nalegał silnie podniecony Valdeuse.

— O!óż, miss Elwa wyjechała nagle, w towarzystwie pięknego, młodego chłopca — afisze zmienione... przedstawień więcej nie będzie.

Pan de Valdeuse zbladł silnie na te słowa.

— Żartujesz chyba, Randolfie — wymówił drżącym od wzruszenia i wściekłości głosem.

— Wcale nie. Przysięgam ci, że to jest prawda.

— Ah! — wybuchnął hrabia — do wszystkich dyabłów! Więc ta mała świętoszka zakpiła sobie ze mnie! A jednakże... ale ja muszę się dowiedzieć... muszę... co to znaczy i natychmiast wybiorę się w pościg za nią.

— Kiedy?

— Bez straty czasu... natychmiast...

— A pogrzeb w Rochegrise?

— Ah! prawda — jęknął hrabia, chwytając się za głowę. — Ten pogrzeb! Ja muszę tam być! W głowie mi się mąci... co robić?

Lord Halley uśmiechnął się z politowaniem.

— Uspokój się, Valdeuse! Co się z tobą dzieje. Tracisz panowanie nad sobą. Nie przypuszczałem, aby ta wiadomość takie na tobie uczyniła wrażenie. Czy chcesz, abym ci pomógł?

— Mów.

— Czy naprawdę jechać musisz?

— Niestety, tak. Muszę wyjechać kurьерem o drugiej dwadzieścia i starać się zdążyć na jutro rano do Rochegrise.

— A chciałbyś jednak mieć wiadomości o naszym zbiegu i wiedzieć dokąd podążyła?

— Ah! czy ja chcę!

— A więc ja ci mogę oddać tę przysługę!

— Zrobiłbyś to, Randolfie?

— Zrobię.

— Dziękuję ci — jesteś moim prawdziwym przyjacielem! — zawołał hrabia. — Ale jakże weźmiesz się do tego, mój kochany?

— Oh! bardzo prosto. Dobry agent śledczy, a znam właśnie takiego, załatwi wszystko ostro-
żnie i dokładnie. Bądź tylko cierpliwy.

— Randolfie, będę ci wdzięcznym aż do śmierci!

— Nie żądam tyle — sprawa tego nie warta. Uspokój się tylko i nie spóźnij się na pociąg.

XI.

Tymczasem w Monestier działały się niezwykle rzeczy.

Młody ksiądz Klemens wniesiony w ową noc fatalną nieprzytomny do mieszkania proboszcza — długi czas nie mógł uzyskać przytomności umysłu, pomimo gorliwych starań obecnych.

Leżał złożony na łożku, błydy, nieruchomy nie dając żadnej oznaki życia.

Stary proboszcz, Pegrusse, dowiedziawszy się o tragicznym wypadku swojego wychowanka, chociaż sam ciężko chory i przykut do fotela na kółkach, kazał się natychmiast zawieźć do pokoju rannego.

Przy pomocy starej służącej Maryanny, dźwignął się z fotela i zaniepokojony silnie, błydy ze wzruszenia pochylił się nad księdzem Klemensem, wyczuwając ręką bicia jego serca.

Po chwili wyprostował się i odwrócił z uspokojoną już trochę twarzą, wydając rozporządzenie służącej, aby przygotowała trochę gorącej wody i wyjęła z apteczki wymienione przez niego zioła. Kiedy naparzenie już było gotowe, proboszcz przemocą wlał łyżkę napoju w usta rannego, a równocześnie kazał tym samym ostudzonym odwarem przemyć starannie wszystkie jego rany i obrażenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).